

W Gruzji odnalazłam to, czego szukałam.

ROZMOWA Z EWĄ STACHURĄ

Kiedy cztery lata temu wykrzyczała na szczycie Kazbeku, że po zejściu założy własną firmę i zostanie w Gruzji na stałe, nikt nie potraktował jej słów poważnie. Rok później otworzyła w niewielkiej, położonej u podnóża góry Kazbek, miejscowości Kazbegi agencję górską Mountain Freaks Mountain Travel & Adventure Agency. Ewa Stachura opowiada o przyjaźniach z Gruzinami, życiu w Gruzji i o tym, dlaczego warto się pospieszyć z przyjazdem do tego kraju.

FOT. ARCH. PRYWATNE



FOT. ARCH. PRYWATNE

Wywiad: Dominika Prajs

Mieszka Pani w Gruzji, która od kilku lat należy do najpopularniejszych kierunków turystycznych wśród Polaków. Marcin Meller, współautor książki „Gaumardżos. Opowieści o Gruzji” wspominał kiedyś na jednym ze spotkań autorskich, że powinniśmy się spieszyć z wyjazdami do tego kraju, bo gościnność Gruzinów wkrótce osiągnie swoje granice. Jak sytuacja ma się obecnie?

Od czterech lat mieszkam w Gruzji na stałe i rzeczywiście zauważałam przez ten czas bardzo wyraźną zmianę w stosunku Gruzinów do turystów.

Jak się ona przejawia?

Ważną tradycją gruzińską jest traktowanie gościa jako wysłannika Boga, którego należy przyjąć po królewsku. Dotychczas właśnie w taki sposób byli tu przyjmowani turyści – jak goście. Jednak ich wzrastająca liczba spowodowała, że zaczęli być postrzegani raczej jako klienci. Gruzini coraz częściej kalkulują – podnoszą ceny za noclegi, posiłki czy inne usługi. Jest to odczuwalne zwłaszcza w sezonie letnim w najpopularniejszych ośrodkach turystycznych. Trudno zresztą, żeby nie było – Gruzję

w zeszłym roku odwiedziło 6,5 mln turystów, w tym roku spodziewanych jest 8,5 mln, z czego 80% przyjeżdża do miejscowości, w której mieszkam, do Kazbegi. Fizycznie niemożliwe jest zatem ugoszczenie wszystkich po królewsku.

Gruzja obrosła mitem kraju otwartego i gościnnego. Czy nie jest tak, że nastawienie Gruzinów do turystów zmieniło się pod wpływem roszczeniowej postawy tych drugich?

Idzie Pani w bardzo dobrym kierunku. Na blogach możemy przeczytać wiele opisów Gruzji jako krainy baśniowej, w której ludzie żyją w szczęściu, radości, wiecznie siedzą przy winie i wznoszą toasty. Przyjeżdżający tu turyści oczekują właśnie takiej Gruzji, bo np. przeczytali w internecie, że w tym kraju tradycją jest rodzinna supra, na którą zaprasza się wszystkie napotkane danego dnia osoby. Nie dalej jak dzisiaj pewien mężczyzna zapytał mnie, gdzie w Kazbegi można się wprosić na prawdziwą gruzińską ucztę. Turyści oczekują zatem, że Gruzini przyjmą ich do swoich domów, czy przewiozą przez pół kraju, nie chcąc w zamian zapłaty, bo przecież zdążyli się przez ten czas już wystarczająco dobrze zaprzyjaźnić. Ich roszczeniowość dotyczy zatem nie tyle kwestii finansów, ile określonych przeżyć i emocji.

Z jakim nastawieniem pojechała Pani po raz pierwszy do Gruzji?

Nie miałam żadnego nastawienia – niewiele o tym kraju wcześniej wiedziałam i słyszałam, bo nie był wtedy jeszcze tak popularny, jak dzisiaj. Przyjechałam tu tylko po to, żeby wspiąć się na Kazbek – jedną z najwyższych gór w Gruzji i wyjechać.

Myszę, że z podobnym planem udaje się do Gruzji większość turystów – chcą odpocząć, oderwać się od rzeczywistości i wrócić do domu. Niewiele decyduje się na pozostanie tu na stałe. Co skłoniło Panią do zamieszkania w Gruzji?

Złożyło się na to wiele czynników, ale najważniejszym z nich byli ludzie, których spotkałam podczas mojego pierwszego pobytu w Gruzji. Za sprawą złej pogody musiałam długo czekać na wejście na Kazbek, mogłam dobrze poznać moich przewodników, Nikę i Dżabę oraz innych ludzi, którzy pracowali w bazie, gdzie czekałam na poprawę warunków atmosferycznych. Dziś są to dla mnie najbliższe tutaj osoby. Już od pierwszego dnia przekonywali mnie swoim zachowaniem, że chcę z nimi zostać. Otworzyli dla mnie swoje serca, mimo że nie rozumieli, dlaczego dziewczyna z Polski chce zamieszkać w małej wiosce w Gruzji na końcu świata. A ja po prostu nie mogłam i nie chciałam zostawić ludzi, dzięki którym czułam się tak dobrze, jak nigdy wcześniej.

Z czasem gruzińscy przyjaciele stali się Pani współnikami.

Tak, wraz z Niką i Dżabą otworzyłam w Kazbegi agencję Mountain Freaks Mountain Travel & Adventure Agency. Dżaba do dzisiaj wspomina nasze wejście na Kazbek. Żartuje, że chyba zabrakło mi wtedy tlenu i już nie wiedziałam, co mówię, bo wykrzyczałam, że po zejściu założymy agencję górską. Udało się to osiągnąć po roku i jak na razie uznaję to za swój największy sukces zawodowy. Bardzo ważna jest dla mnie świadomość, że prowadzimy tę firmę nie tylko dla zysku, ale też, by być razem i robić coś fajnego. Myślę, że coś takiego mogło mi się przydarzyć tylko w Gruzji, bo tutaj wciąż od finansów ważniejsze są relacje. A to, że prowadząc agencję górską, mogę łączyć pracę z pasją, tym bardziej sprawia, że doceniam swoją obecną sytuację oraz moich współników, bez których nie byłoby to możliwe.

Trudno było pogodzić polską mentalność z gruzińskim temperamentem?

Zdecydowanie tak. My, Polacy jesteśmy znacznie bardziej europejscy, stąd niełatwo przychodzi nam zrozumienie gruzińskiej fantazji, szczególnie w takich sprawach jak biznes. Choć myślę, że dzięki temu, iż w Gruzji jest obecnie tak, jak kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu było w Polsce, udaje mi się dobrze dogadywać z moimi współnikami. To chyba też powód, dla którego Polacy tak chętnie przyjeżdżają do Gruzji. Przypominają im się czasy, kiedy człowiek był dla człowieka przyjacielem, sąsiadem, gościem, a nie tylko współpracownikiem, klientem czy szefem w korporacji.

Budzi się w nas nostalgia, sentyment za tym, co minione?

Zdecydowanie! Bardzo często słyszę od gości z Polski słowa, że czują się w Gruzji tak, jak w naszym kraju wiele lat temu.

Udało się Pani założyć własny biznes w społeczeństwie zdominowanym przez mężczyzn. W Gruzji chyba nieczęsto się zdarza, by kobieta prowadziła firmę?

To prawda, zwłaszcza tu w Kazbegi, gdzie patriarchat trzyma się w posadach szczególnie mocno w porównaniu z większymi miastami, jak choćby Tbilisi. Otwarcie przeze mnie agencji górskiej było zatem dużym wydarzeniem. Udało mi się to osiągnąć z pomocą moich współników, dla których prowadzenie działalności z kobietą (i to z Europy!) nie stanowiło problemu, a wręcz przeciwnie – było radością i zaszczytem. Jeżeli ktoś żartem komentował, że raczej powinnam wrócić do kuchni uczyć się robić chinkali, niż zajmować się firmą, to oni zawsze stawali w mojej obronie. Myślę, że początkowo większość ludzi w Kazbegi zakładała, że szybko zrezygnuję z prowadzenia agencji i wrócę do Polski. Chyba dopiero teraz, po czterech latach zro-



zumieli, że traktuję mój biznes i pobyt tutaj poważnie i nie zamierzam opuszczać Gruzji.

W otwarciu firmy pomogli Pani współpracownicy, ale pewnie też fakt, że pochodzi Pani z innego kręgu kulturowego, w którym kobieta na kierowniczym stanowisku nie jest zaskoczeniem.

Na pewno. Zawsze, kiedy pojawiała się trudność natury mentalnej, kiedy żartowano, że kobiety nie powinny zajmować się biznesem, odpowiadałam „Rozumiem, że tak jest w Gruzji, ale pamiętaj, ja nie jestem stąd”. I o dziwo przyjmowano to ze zrozumieniem. Do dzisiaj zdarza mi się często zachowanie, które choć nie przystoi Gruzinkom, w moim przypadku nie jest odbierane negatywnie. Na początku zależało mi na tym, by w końcu przestano mnie traktować jak „dziewoszkę z Polski”. Teraz patrzę na to inaczej i uznaję moje pochodzenie za rodzaj tarczy obronnej, która pozwala mi na podejmowanie pewnych działań w inny niż ogólnie przyjęty w Gruzji sposób.

Czy Pani działalność wpływa na sposób myślenia Gruzinek?

Nie są to duże zmiany, ponieważ Gruzja z całą pewnością nie jest jeszcze gotowa na rewolucję kobiet. Choć docierają do mnie pewne konkretne sygnały, że coś się zaczyna dziać i to oczywiście bardzo mnie cieszy. Na przykład całkiem niedawno jedna z moich gruzińskich koleżanek wyznała mi, że obserwując mnie, postanowiła poczekać z założeniem rodziny i pójść do pracy. Doszła do wniosku, że nie ma nic złego w tym, że kobieta spełnia się zawodowo, nie mając przy sobie męża i trójki dzieci. Trzeba tutaj dodać, że ta dziewczyna ma tylko dwadzieścia trzy lata. Jednak w Gruzji jest to już czas, kiedy powinno się zacząć poważnie myśleć o wyjściu za mąż i założeniu rodziny. Taka jest tradycja i oczekiwania społeczne.

A czy jest coś, czego Pani nauczyła się od Gruzinek?

Może niekoniecznie jest to coś, czego się nauczyłam, gdyż by nauczyć się czegoś od kogoś, to należy z tym kimś przebywać, obcować. W Gruzji podział na świat mężczyzn i świat kobiet to wciąż naturalny porządek rzeczy i fakt. Ja w Gruzji pracuję, prowadzę własną firmę, sama mieszkam, jestem niezależna i samodzielna. To powoduje, że bardziej wpisuję się w świat mężczyzn i to z Gruzynami, a nie z Gruzinkami, spędzam większość swojego czasu i mam bliższe relacje. Jest jednak coś, co obserwuję tutaj na co dzień – to stosunek Gruzinek do rodziny. Potrafią poświęcić siebie dla najbliższych. Mimo trudnych warunków życia i często jeszcze trudniejszej sytuacji osobistej, Gruzinki nie narzekają, a co więcej – pozostają dumne i silne. Gruziniński model życia rodzinnego i sytuacja kobiet tutaj zdecydowanie nie jest czymś, czego chciałabym dla siebie, ale to szanuję i staram się wyciągać z tego lekcję dla siebie. Gruzja nauczyła mnie, że nie wszystkie różnice kulturowe można zrozumieć, a czasami trudno je nawet akceptować. Ale trzeba je szanować.

Ma Pani w sobie coś z Gruzinki?

Wielokrotnie zdarza mi się, że tutejsi mieszkańcy, dopóki nie zorientują się, że nie mówię bardzo dobrze po gruzińsku, biorą mnie za Gruzinkę i nie mogą uwierzyć, że pochodzę z Polski. Pod względem fizycznym jest więc we mnie na pewno coś z Gruzinki. A patrząc na moje związki z Gruzją metaforycznie? Też coś w tym musi być, bo chyba nie porozumiałabym się tak dobrze z lokalną społecznością. Łączy nas wspólna potrzeba bezinteresownego, opartego na przyjaźni i lojalności kontaktu z drugim człowiekiem. Wyjeżdżając z Polski, szukałam tego i udało mi się to odnaleźć właśnie w Gruzji.